Czy parodia westernu?

● Teatr „Rozmaitości" w Warszawie:: *WIATR W GAŁĘZIACH SASAFRASU* René de Obaldia w przekładzie i adaptacji Kazimierza Piotrowskiego; przekład wierszy: Jerzy Lisowski. Reżyseria: Irma Czajkowska, scenografia: Ryszard Kuzyszyn. Premiera 14 marca 1969 r. (fot. Witold Nowak)

Warszawa zobaczyła *Wiatr w gałęziach sasafrasu* w rok po polskiej premierze tej sztuki. O jej autorze należącym do przedstawicieli dramaturgii awangardowej z entuzjazmem mówili zarówno Eugène Ionesco jak zmarły niedawno Marcel Aymé. W programie przedstawienia z przyjemnością czyta się artykuł Lecha Budreckiego, świadczący o zrozumieniu dramaturgii Obaldii i intencji tej jego sztuki. Ale przedstawienie Teatru „Rozmaitości" pozostawia pewien niedosyt.

Czym jest bowiem dramat Obaldii?

W zasadzie *Wiatr w gałęziach sasafrasu* jest parodią westernu i jego konwencji: literackich i filmowych. Ale nie tylko. Sztuka osadzona w realiach XIX w., pokazująca jak „dobrzy" biali farmerzy oblegani przez „niedobrych" Indian czekają na odsiecz pod wodzą pułkownika Hemingway'a, pełna jest swoistych „modernizmów"; w pomieszaniu kategorii czasowych przypomina nieco Jarry'ego, w komizmie językowym nadrealistów i Ionesco. Przy ich pomocy atakuje również konwencje obyczajowe i moralne; mówi o świecie współczesnym tak, by ważkie problemy ukazać w krzywym zwierciadle ironii: i to zarówno schematyczny podział na ludzi mniej i bardziej wartościowych odbijający się w rozróżnieniu „złych" Indian i „dobrych" białych, jak konflikt pokoleń, czy modę na egzystencjalizm. Nie będąc traktatem etycznym, przez umiejętne demaskowanie schematów utrwalonych przez życie i stereotypów ludzkich postaw może zainteresować widza — co prawda dość powierzchowną — problematyką filozoficzną. Tym bardziej, że Obaldia sygnalizuje problemy „na wesoło", z pewnymi nawet elementami tzw. czarnego humoru.

A co zobaczyliśmy w teatrze?

Scenografię zasługującą na pochwałę, która przedstawiała prawie naturalistycznie wnętrze farmerskiej izby z wahadłowymi drzwiami (efektownie wykorzystanymi dla wejścia Miriam — Jedlewskiej).

1. Wanda Stanisławska-Lothe (Karolina), Kazimierz Meres (Carlos), Jolanta Lothe (Pamela). 2. Wacław Kowalski (Butler) i Jarosław Kuszewski (Tom). Na zdjęciu dolnym: Stanisław Winczewski (Rockefeller), Jerzy Duszyński (Carlos), Bożena Kurowska (Pamela)

Przedstawienie będące rezultatem pracy reżysera i aktorów, którym nie brakowało pomysłów; przeciwnie, grzeszyli ich nadmiarem i różnorodnością. Dlatego styl przedstawienia zagubił się w nadmiernej ilości dowcipów scenicznych i w efektach osiąganych za wszelką cenę. W samym tekście dramatu aż się roi od elementów nieprawdopodobnych (np. jedna z postaci stwierdza: „Najpierw padł pierwszy rząd Indian, potem drugi, trzeci, czwarty".) i dlatego tekst należało może grać bardziej werystycznie. Z dotychczasowych doświadczeń wiemy, że groteskę należy podawać w sposób bardziej naturalistyczny, nie podnosząc jej do drugiej potęgi, co zawsze sprawia, że absurdalny komizm tekstu zaczyna rozmijać się z odbiorcą.

Trochę zawiodło również tempo przedstawienia: w akcie drugim i trzecim czuło się dłużyzny. Co najważniejsze jednak — zabrakło jednolitej interpretacji aktorskiej, od której w sztuce i w przedstawieniu zależy wszystko.

Tylko troje głównych aktorów — Wanda Stanisławska-Lothe, Stanisław Winczewski i Wacław Kowalski — zrozumiało tekst i jego atmosferę. Stworzyli postaci zindywidualizowane, ale bez niepotrzebnych przejaskrawień. Dzięki nim powstały również sceny sugerujące coś więcej, niż tylko parodię westernu. Stanisławska-Lothe w roli Karoliny Rockefeller stworzyła postać zacnej gospodyni, pełnej pobłażliwości dla męża-samochwały. Szczególnie świetnie rozegrała sceny wróżenia. Stanisław Winczewski jako jej mąż zwracał uwagę zabawną i utrzymaną w atmosferze dramatu charakteryzacją, umiejętnym podawaniem tekstu (sprawnie akcentował dowcipne pointy) oraz powściągliwą grą. Był starym, wytrawnym wygą, umiejącym się znaleźć w każdej sytuacji, odważnym farmerem przyznającym się nawet do słabostek. Tym dwojgu wiernie sekundował Wacław Kowalski — sceniczny William Butler. Dał kapitalną sylwetką pijanicy o gołębim sercu i tchórza umiejącego strach przezwyciężać.

Niestety, pozostali aktorzy tylko chwilami dostosowywali się do interpretacji „wiodącej" trójki. Toteż inne postaci zostały już przejaskrawione przez nadmierną gestykulację, zbędne gierki, niepotrzebny ruch, jak liczne skoki po scenie Zbigniewa Dobrzyńskiego (Indianin), wprowadzające nastrój prawie farsowy. Dlatego też nawet dobre pomysły — zabawne wprowadzenia dokonane na wstępie przez narratora (Stefan Knothe), sceny filmowe dowcipnie prezentujące poszczególne postaci i strzały zapowiadające kolejne akty sztuki — zostały teatralnymi niewypałami.

ALOJZY PAŁŁASZ

„Teatr" 11/ 1-15.06 1969r.